

Wiktor Gomulicki

Chałat

..
Aż do samej Jabłonny szło wszystko jak najlepiej. Słońce jasno przyświecało; konie biegły żwawym truchtem; podróżni, ściskając się na małej przestrzeni, nawzajem ciepła sobie udzielali.

Czasem tylko ktoś wstrząsnął się, szczelniej futrem otulił i przez zęby mruknął:

– Ależ psie... Diabelskie... Siarczyste mrozisko!

Wszyscy (z wyjątkiem mnie) palili; większość pociągała dość często z opłatanych i nieopłatanych, płaskich i pękatych butelek.

„Humory” były wyśmienite. Opowiadano anegdotki, wybuchano śmiechem. Rej wodził młodzieniec z „kozią” bródką, z wąsami, których końce, dzięki pomadzie węgierskiej, posiadały piękny kształt „mysich ogonków”.

Młodzieniec był ubrany niezwykle. Miał na sobie ogromny kożuch barani, na nogach buty z cholewami lakierowanymi, na głowie lekki, filcowy kapelusz barwy zielonej.

Jego stanowisko społeczne nie było dla nikogo tajemnicą. Jeszcze w Warszawie, zaledwie zdążył wśrubować się pomiędzy czerwono-fioletowego dzierzawcę i pomarańczowoszkarłatną gospodynię proboszcza, natychmiast przedstawił się współpodróżnym jako „farmaceuta”.

Nie wiem czemu, przy końcu każdego ze swych opowiadań zwracał się on zawsze do mnie i mrużąc filuternie oko zapytywał:

– Nieprawda, kolego?

Przytakiwałem głową w milczeniu, trochę dumny, a trochę zmieszany brataniem się ze mną tak odznaczającej się osobistości.

Miałem lat piętnaście, a więc byłem w wieku, gdy człowiek sam nie wie: z kim towarzystwo trzymać, do jakiej zaliczyć się „kategorii”?

Miałem lat piętnaście i tytuł szóstoklasisty. To również tytuł i stanowisko nieokreślone. Nauczyciele mówią ci „panie” – a ładne dziewczęta, na które ośmielasz się zerknąć

na ulicy, mianują cię głośno „sztubakiem”, „sczorykiem”, i z wyraźnym lekceważeniem śmieją ci się prosto w oczy.

Dopiero od kwartału uczyłem się w Warszawie i te święta były pierwsze, na które spomiędzy obcych śpieszyłem do swoich. Śpieszyłem najszybciej jak mogłem i właśnie dla tego pośpiechu, który mnie o gorączkę przyprawił, uprzedziłem o całą dobę termin wyjazdu przez rodziców wskazany.

Myśl, że za kilkanaście godzin swój dom i swoje miasto zobaczę, przyprawiła mi o gorączkę – grzała mnie po prostu – i to była właściwie moja jedyna ochrona przed zimnem, któremu nader słabą zaporę stawiały: lekki, „wiatrem podszyty” szynel, szalik włóczkowy i gumowe na zwykłych „kamaszkach” kalosze.

Gdybym miał cierpliwość czekać do dnia następnego, przysłano by mi z domu futro, koc na nogi i berlacze. Prócz tego pojechałbym zamkniętą karętą pocztową, w towarzystwie najdobrańszych „pasażerów” i „pasażerek”, przy różnych dźwiękach trąbki, budzącej echa leśne.

Niestety! Odkładać na dwadzieścia cztery godzin rozkosz, przez cały kwartał marzoną, przechodziło moje siły. Rzecz to znana, że w epoce, gdy człowiek ma przed sobą życie całe, bywa najniecierpliwszy i najtrudniejszą dlań rzeczą – czekać.

Ta niecierpliwość sprawiła, że zamiast we środę na Przedmieściu Krakowskim, przed „Starą Poczta”, znalazłem się we wtorek na ulicy Wałowej vel Wołowej, wśród obszernego dziedzińca zajazdu „Pod Jeleniem”.

Tam znajdowała się główna stacja omnibusów, bryk krytych i otwartych, które przedsiębiorcy żydowscy wysyłali na wszystkie trakty, współzawodnicząc zwycięsko z pocztą i kolejami żelaznymi. Tam jedno z miejsc naczelnych zajmował Josek, utrzymujący stałą komunikację osobowo-towarową pomiędzy Warszawą a miastem P., do którego mnie właśnie droga wypadła.

Z tym więc Joskiem jechałem – na wielkiej, odkrytej, trzęsącej, brzęczącej, ludźmi oraz towarami wyładowanej i przeladowanej bryce.

Nie poszło to z łatwością; nie obyło się bez ofiary. Aby traktować z Joskiem, na jego brykę sięść i w sposób tak prostacki do domu jechać, musiałem zadać gwałt wielu swym, jeśli nie przekonaniom, to – upodobaniom.

A te upodobania były w owym czasie nadzwyczaj wykwintne. Przechodziłem okres „estetyzmu”, byłem rozmiłowany w pięknych kształtach, w zewnętrzności wytwornej, we wrażeniach przyjemnie oddziaływających na duszę.

Ten stan nie jest osobliwością u chłopców i dziewcząt w epoce dojrzewania – u mnie tylko wystąpił nieco wcześniej niż u rówieśników.

Byłem w owym czasie wybredny w jedzeniu, w odzieży, w stosunkach z ludźmi. Poszukiwałem ciastek o nadzwyczajnym smaku; używałem mydła i pomady z niezwykle zapachami; nakładałem czapkę przed zwierciadłem; nosiłem rękawiczki.

Kilku zaledwie z liczego grona kolegów dopuściłem do poufałości. Byli to uczniowie celujący albo nauką, albo tytułem rodzinnym, albo wytwornością. Doszedłszy do przekonania, że złe stopnie są rzeczą nieestetyczną, zrobiłem się uczniem pilnym i dążyłem wytrwale do zdobycia nagrody.

Upajała mnie poezja, ale tylko pięknie rymowana. Dzwoniły mi w uszach dumki i szumki Bohdana Zaleskiego; powtarzałem sam przed sobą, często na ulicy, wśród turkotu kół i wrzawy rozmów, strofy w rodzaju następczej:

Złote słońko do gospody
Zaszło do snu złożyć skroń;
Mgły wilgotne wstają z wody,
Z łąk rozkosznych wstaje woń.
W wieńcu gwiazd,
W płaszczu chmur,
Cicha noc
Schodzi z gór...

Piękny obraz, ładna rycina o dreszcz mię przyprawiły. Codziennie, wracając ze szkoły, zatrzymywałem się przed wystawą obraźnika, przyglądając się z rozkoszą tym samym wiecznie sztychom i chromolitografom.

Brzydota pod wszelką postacią była mi nienawistna, sprawiała cierpienie prawie fizyczne. Nie byłem w stanie uczyć się z książki brudnej, źle oprawionej, niedbale drukowanej. Stare, szpetne twarze działały na mnie odpychająco. Rozmawiając z brzydką służącą, starałem się nie patrzeć na nią. Gdy obdarzał żebraka, czyniłem to zawsze z przymkniętymi oczyma, rzucając pieniądz z

pewnej odległości, aby nie dotknąć wypadkiem brudnej dłoni, palców czarnych, pokurczonych.

Wstrętny był mi zwłaszcza gmin żydowski. Ponieważ do szkoły wypadało iść przez Grzybów, wstawałem wcześniej i nakładałem duży kawał drogi, aby tylko uniknąć ocierania się o czerń chałatową...

Jakaż mękę dla takiego estety stanowić musiał stosunek z Joskiem, który był brzydki i brudny i od którego z daleka zalatywały: cebula i pot koński!

Mimo wszystko trzymilową przestrzeń od Warszawy do Jabłonny przebyliśmy dość szczęśliwie. Mróz był, bo był, kąsał, bo kąsał – ale od natłoczonej masy ciał i futer płynęły ciepłe prądy, które ostrość zimna łagodziły. Przy tym, co najważniejsze, mieliśmy wiatr za sobą.

Najgorzej było z pakunkami, którymi Jasek wyładował przód, tył, boki i spód swego rozłożystego pojazdu. Tuż za moimi plecami trzęsa się w słomie wielka głowa cukru, niby stożkowy pocisk armatni, którego cieńszy koniec wprost we mnie był wymierzony. Co pewien czas ten pocisk uderzał mię pod łopatkę, to słabiej, to silniej, jakby chciał powoli prześwidrować na wylot. Zrozumiałem wówczas, co czuje owad, gdy go małeletni miłośnik przyrody tępą szpilką przewierca.

Odpoczynek w Jabłonnie pogodził mię częściowo z losem. Przez godzinę przeszło siedziałem w ciepłej izbie zajazdu, nie czując za sobą głowy cukru, nie widząc przed sobą rozczochranej głowy Joska i jego wielkiej, zatłuszczonej, obszarpanej czapy.

Tę izbę bardzo lubiłem. Wydawała mi się zawsze uroczyście piękna, niby sala w starym zamku, niby kaplica. O każdej porze roku i dnia panował w niej półmrok. To właśnie sprawiało ów nastrój uroczysty. Nie słyszało się tam nigdy krzyków pijackich ani wybuchów głośnego, mazurskiego śmiechu. Podróżni zachowywali się milcząco, przywoicie, powściągliwie, jak w poczekalniach kolejowych pierwszej i drugiej klasy.

Na „bufecie”, mrocznym, poważnym jak stalle kanonickie, stały wielkie ptaki wypchane.

Za bufetem siedziała piękna, blada, dostojnie smutna kobieta. Wydawała służbie rozkazy, poruszając jedynie ustami: głosu jej nigdy nie zdarzyło mi się słyszeć. Otaczały ją naczynia dziwnych kształtów, ze srebra, brązu, kryształu; pęki suchych traw i kwiatów tkwiły obok niej w ciemnych

wazonach, hipnotyzując swym sennym, sztywnym bezruchem. Dzwonek poruszany ręką tej kobiety wydawał dźwięki nadzwyczajne: brzmiał jękliwie, tajemniczo, nabożnie, jak północne dzwonięcie, w pustelni kamedułów...

Tak przynajmniej przedstawiało się to wszystko wówczas moim zmysłom i mojej wyobraźni.

Nastrój podniosły wzmagaly dwie okoliczności, bardzo odmiennego rodzaju.

Najpierw – całą Jabłonnę wypełniała dla mnie światoworczyńska postać księcia Józefa Poniatowskiego. Z okna izby zajezdnej przyglądałem się bramie żelaznej wiodącej do jego niegdyś parku. Przy podjeździe leżały tam dwie olbrzymie kule kamienne; przez kratę było widać zwężającą się perspektywiczną aleję nagich, skostniałych od mrozu drzew parkowych.

Zdawało mi się nieraz, że z mgły, przesłaniającej głębię parku, wysuwa się bez szmeru biały łabędź sani książęcych, a na nim młodzieniec w burce, z małymi na rumianej twarzy „bakenbardami”, z oczyma ciskającymi błyskawice...

Drugą podniecającą mnie okolicznością był fakt czy też pogłoska, że „austerię” w Jabłonie trzymają dwie siostry – baletnice. Dla piętnastoletniego estety baletnica, ballerina, była czymś prawie nadziemskim. Zaprowadzono mnie raz do teatru na balet „czarodziejski” i wyrobiłem sobie wówczas przekonanie, że baletnica jest czymś pośrednim pomiędzy Mickiewiczowską Switezianką a Wergiliuszową Nimfą...

Ciemne, wysokie drzwi lekko skrzypane; ukazał się Josek, granatowy od zimna, w długiej, obszarpanej opończy, z wielkim biczem w ręce.

Pokornie stanął przy progu, bicz z ręki do ręki przełożył, zakaszłał...

– Żymnooo... – wyrzekł przeciągle, drżąc, zwracając mowę razem do wszystkich i do nikogo.

Nikt nie spojrzał nań nawet.

Zaszurał ciężkimi buciskami, biczyskiem w podłogę zastukał – jakby dla zwrócenia na siebie uwagi.

– Żymnooo... Wielgie żymnooo – powtórzył nieco głośniejsze, ale zawsze z powściągliwą pokorą.

Byłem domyślniejszy, czy też tylko naiwniejszy od swych głuchych i milczących towarzyszków: zrozumiałem, że przeziębły woźnica przymawia się o poczęstunek. Chętnie kazałbym mu podać herbaty gorącej z arakiem, kawał

chleba z pieczenia... Cóż, kiedy był tak odpychająco brzydki, brudny, prostacki!

Odwrociłem się pośpiesznie do okna, aby nań nie patrzeć. Wyteżonym, niecierpliwym wzrokiem upatrywałem książecego łabędzia.

Do Joska przystąpił służący – za ramię silnie go ujął.

– Tu Żydom nie wolno! – oznajmił głosem dobitnym.

– Nu, to sobie pójdę – rzekł woźnica z rezygnacją. – I proszę państwa na brykie – dodał, obracając się do podróżnych. – Czas jechacz!

Zaraz za Jabłonną szosa załamuje się pod kątem prawie prostym. W skutku tego wiatr, wiejący nam dotąd w plecy, zaczął teraz nacierać z boku. Nie był to wiatr silny; w lecie nazwalibyśmy go „zefirkiem” i z rozkoszą pewnie nadstawialibyśmy mu rozgrzane twarze, ale przy mrozie kilkunastostopniowym każde muśnięcie tego zefirka równało się dotknięciu rozpalonym żelazem.

Towarzysze pochowali się z głowami w swe wielkie futra; mój kołnierz od szynela nawet całych uszu nie mógł zasłonić. A na bryce nie było już tak ciepło i przytulnie jak wpierrw. Część podróżnych wysiadła w Jabłannie i na siedzeniu potworzyły się luki.

Mniej już dowcipkowano i mniej śmiano się. Gospodyni proboszcza dokuczała fluksja. Co pewien czas objawiała ona swe cierpienie jękiem przytłumionym, który spod mnóstwa szali, szalików, chustek, chusteczek dobywał się jak spod ziemi. Farmaceuta doradzał miłosiernie użycie jakichś kropli, gospodyni jednak, mając uszy zatkane watą, nie słyszała, co do niej mówi. Głowę tylko chwiała w prawo i w lewo, oczy podnosząc do nieba.

Upewniony, że go osoba interesowana nie zrozumie, młodzieniec z kozią bródką i mysimi wąsami odważył się na radę następującą:

– Najusilniej zaś zalecam pani dobrodziejce napełnić dziurawy ząbek wodą zimną, następnie sięść na rozpalonej blasze u komina i nie wstawać, aż się woda w ząbku zagotuje. Próbę tę powtarzać wypada do trzech razy, po czym i fluksję, i ząbek diabli wezmą...

Zerknął na mnie.

– Nieprawda, kolego?...

I dał nurka w swe olbrzymie barany.

Zrobiło się trochę weselej. Ten i ów zaopatrzył się w Jabłannie w świeży zapas

„pocieszycielki”, więc znów dało się słyszeć miłe dla ucha gulgotanie płynów, przelewanych do gardła przez wąskie szyjki butelek.

Łyknął chudy, milczkowaty mieszczanin i butelkę chustką czerwoną otarłszy podał dzierżawcy; dzierżawca przepił do farmaceuty i otwór szyjki osuszył rękawem od futra; farmaceuta pociągnął raz i drugi, chuchnął, językiem mlasnął, zagwizdał...

– Kolej na kolegę – zwrócił się do mnie zachęcająco. – Nie zaszkodzi: słowo aptekarskie!...

Dałbym się pewnie skusić, ale mię zaleciał szynkowniany odór anyżówki.

– Dziękuję – rzekłem. – Prostych wódek nie używam.

Aptekarz podniósł brwi wysoko, kocią bródką kilkakrotnie poruszył i w milczeniu oddał butelkę mieszczaninowi.

– Rany boskie! Święta Weroniko!... – zaśpiewała w tej chwili gospodyni proboszcza, której nagle i słuch, i mowa powróciły. – Jakże można delikatną chłopczyninę taką – Panie odpuść – śmierdziuchą częstować. Mam ja tu cości rarytniejszego. Mój dobrodziej panienki tym traktuje, jak na plebanię przyjdą.

Wydostała z torby podróżnej niedużą butelkę „Goldwasseru” i małą, rżniętą czarbkę. Nalała gęstego, słodkiego trunku, w którym połyskiwały drobne płatki złota malarskiego.

– Niech pan student pije na zdrowie...

Barwa, zapach, a najbardziej podobno połysk iskrzących się w słońcu drobinek złota podziały na moją wyobraźnię.

Sięgnąłem bez namysłu po czarbkę – wypilem.

Zrobiło mi się cieplej – bardzom zaś już tego potrzebował.

– A co to pan student tak lekko? – spytała właścicielka „Goldwasseru”, obrzucając wymownym spojrzeniem mój szynel, bardzo pięknie skrajany, ale mający wiatr za podszewkę. – Przeziębic się można, Boże uchwaj!...

– Eeee! – rzekłem z udanym lekceważeniem. – Nic mi nie będzie. Przyzwyczajony jestem. Zresztą – skłamałem dla ocalenia pozorów – mam pod spodem kożuszek. Wydałem policzki i dmuchnąłem przed siebie, jak to czynią ludzie, którym bardzo gorąco.

Pokiwała głową, oczy zmrużyła i zapadła w poprzednie, cichymi jękami przerywane, odrętwienie.

Mród stawał się coraz większy, jechaliśmy zaś coraz wolniej. Żydowskie, słomą żywione konięta wyczerpały już

swój zapas energii i fantazji i nie biegły teraz, lecz szły stępa, potykając się, poślizgując.

Dzień, jak zawsze w grudniu, szybko szarzał i gasnął. Słońce rozczzerwieniło się, roziskrzyło; długie, ukośne smugi purpurowego światła ślizgały się po rażąco białej, szklistej powierzchni pustych, bezbrzeżnych pól...

W powietrzu wirowały, na kształt pyłu diamentowego, maleńkie śnieżne gwiazdeczki, które pod słońce mieniły się złotem i szkarłatem. Bawiło mię to wirowanie, bawiła gra kolorów, gonilem wzrokiem iskierki, wybiegałem spojrzeniem aż tam, gdzie linia horyzontu, łuną zachodnią zaróżowiona, zlewała się z niebem, na które padał mleczny odbłask śniegu.

Pozwalało mi to zapominać o dojmującym zimnie, o szpilkowych ukłuciach mrozu, o tym, że jeszcze połowa drogi nie przebyta, a konie zwalniają wciąż biegu...

Tymczasem alkohol robił swoje...

Mieszczanin, milczący dotąd jak ryba, rozgadał się nagle i plótł trzy po trzy o swej żonie, o „fajerkasie”, o „Żydach odszczepieńcach”, o „kwaterunkowym”, o prosięciu, które zagryzł pies komisarski. Zakończył głośnym śpiewaniem pieśni adwentowej.

Dzierżawca skulił się, uszy opuścił. Do jego właściwości należało widocznie to, co Francuzi le vin triste nazywają. W urywanych, melancholii pełnych zdaniach uskarżał się na „psie czasy”, na „podłe ceny”, na „straszny ucisk obywatelstwa”, na „pijawki żydowskie”.

Farmaceuta stał się jeszcze gadatliwszy.

– Ja na miejscu pana dobrodzieja – dowodził rolnikowi – hodowałbym tylko barany. Z baranów największy profit. Profesor Hans Peter Piperment z Dyseldorfu dowiódł, że baran, byle miał kawałek soli do lizania i dużo wody do picia, niczego więcej nie potrzebuje. A teraz policz pan dobrodziej korzyści. Strzygę barana – i mam wełnę, z wełny kort, z kortu ubranie dla siebie i dla dzieci. Ściągam z niego skórę, razem z wełną – i mam pyszności futerko, takie, jak to oto, które mi krewniak przysłał na drogę. Doję go...

– Barana? – zadziwił się szlachcic, wytrzeszczając okrągłe oczy.

– Barana czy jego żonę to w gruncie rzeczy wszystko jedno. Doję go zatem i mam mleko, a z mleka serki wyśmienite. Zarzynam wreszcie pocziwe stworzenie – a wówczas opływam we wszystko. O baranich kotletach, o

combrze baranim mówić panu dobrodziejowi nie potrzebuję. Nasz sławny ksiądz Skarga pięknie o tym się wyraził: „Niczym jest wszystko w porównaniu z wiecznością i niczym wieczność w porównaniu z pieczeniem barania z czosnkiem!” Prócz mięsa mam tłuszcz. Niosę tłuszcz do apteki, sprzedaję go i zarabiam grrrrube pieniądze. Pozostają mi jeszcze nogi, rogi i kości. Kąpiel z nóg baranich jest zalecana niemowlętom; można też z nóg przyrządzać wyborną galaretę. Rogi kupuje ode mnie fabryka guzików. Z kości wygotowuję klej, tak potrzebny w gospodarstwie. Myślisz pan dobrodziej, że na tym koniec?... A skórka? A kiszeczki? Na skórce „Towarzystwo” drukuje mi liściki zastawne; z kiszeczek wyrabiają dla mnie struny, które naciągam na skrzypce i wygrywam sobie mazurki, sztajerki, obertaski, pocieszając się we wszystkich biedach i frasunkach...

W tej chwili bryka zatrzymała się przed dużym, murowanym budynkiem. Dojechaliśmy do Zegrza, który nazywano także, nie wiem dlaczego, Zagrobami. Ostatnia nazwa brzmiała zawsze w mych uszach żalobnie.

Lubiłem to miejsce, lecz nie lubiłem zajazdu w nim. Miejsce było piękne, dla bliskości rzeki – ukochanej „błękitnej” Narwi mojej; zajazd wydawał się brzydkim, bo czuć go było zawsze wilgocią, stęchlizną, pustką.

Wszedłem do środka po to tylko, aby wypić, nie siadając, kilka szklanek osłodzonego ukropu z zapachem siana, po czym zaraz wybiegłem przed zajazd.

Słońce dogasało. Zbladła już jego czerwień; osłabła jaskrawość. Zmętniało, na kształt oka zaciągniętego kataraktą, i pogrążyło się w mgłach kolorowych. Już można było patrzeć na nie bez zmrużenia powiek; już stało się olbrzymem powalonym, dogorywającym, nie strasznym nikomu.

Mgły na zachodzie były podobne szalom z gazy jedwabnej, z którymi igrają tańczące bajadery. Miały te szale barwę jutrenkową i barwę wody morskiej, i barwę bzu świeżo rozkwitego. Zdawały się falować, na kształt lekko rozkołysanego morza, i zdawały się, przy płasach niewidzialnych tanecznic, zbliżać do siebie, łączyć się, splatać ze sobą.

I z wolna wszystkie barwy tych wstąg smużystych, drżących, powiewnych zaczęły stapać się w jedną: w różowawy fiolet. Z początku ten fiolet był tylko chłodny;

potem z nadzwyczajną szybkością ciemniał i stygnał, przechodząc w tony stalowe, zimne, mogilne, wreszcie stał się tak mroźny, że aż ból sprawiał oku i duszy...

Przymknąłem oczy w przerażeniu. Wydało mi się, że już tam, w górze, wszystko, wszystko zamarło.

Gdym je po chwili otworzył – jakaż zmiana! Cmentarna przed minutą pustka przestrzeni iskrzyła się miliardami światła, a każde światło było światem, a każdy świat wołał przez otchłanie eteru: „Żyję!...”

Półdziecinny, ale tym czulszy i bliższy Boga duch mój podniósł się do wysokości, na jakiej nigdy dotąd nie przebywał. Doświadczyłem uczucia, jakbym skrzydeł dostawał i ziemię tracił pod stopami...

– Panyciul Josek napiłby się śnapsa! – zacharkotano mi nagle nad uszami.

Wstrząsnąłem się jak lunatyk, gdy bosą stopą na prześcieradło mokre nastąpi, i – uciekłem do zajazdu.

A tam już farmaceuta mrugając powiekami, trzęsąc kozią bródką, rozsuwając i zesuując mysie ogonki wąsów, krzyczał do dzierżawcy, co rozczzerwieniony jak piwonia kiwał się sennie nad nie dopitą szklanką herbaty z arakiem:

– A mnie co, panie dobrodzieju, po strzelbie! Strzelba, panie dobrodzieju, to przesąd, czasów barbarzyńskich zabytek! Dziś – patrz pan dobrodzieju, gdzie chowamy cały arsenał.

Rozpiął kurtkę, wsunął dwa długie, chude palce do kieszonki od kamizelki i wyciągnął małe, owalne pudełeczko.

– *Pilulae... Triginta duo...* – przeczytał, stukając palcem w wierzch pudełka, – Trzydzieści dwie pigułek – to znaczy: trzydzieści dwa trupów. Trupów wilczych, lisich, niedźwiedzich, lamparcich – do wyboru, panie dobrodzieju! Jedna pigułka na osobę. Popić wodą ocukrzoną i dietę zachować.

Tamten nic już nie słyszał – zajęty całkowicie wybijaniem pokłonów przed stygnącą herbatą. Pokłony były coraz głębsze, coraz uniżeńsze – aż wreszcie przy jednym z nich czoło pana brata uderzyło o brzeg stołu a on sam zbudził się i na cały głos zawołał:

– Czy to już Syrock ?

Wymawiał „Syrock” tak samo, jak „syr” – co, za moich lat chłopięcych, w tamtej okolicy nie tylko nie należało do osobliwości, ale było jakby obowiązujące.

– Proszę państwa na brykie – czas jechacz! – obwieścił Josek, stając w otwartych drzwiach z biczem wielkim w łapie, fioletowy od zimna, dygoczący jak w febrze.

O zmiękczenie kamiennych serc „pasażerów” już się tym razem nie kusił...

Na bryce znaleźliśmy się we czterech. Ubyła posiadaczka „Goldwasseru”, na którą w Zegrzu czekały konie proboszcza. Za to Josek pozyskał dwóch brodatych, nadzwyczaj rozmownych towarzyszków. Trójka na koźle rozgrzewała się gwałtowną gestykulacją oraz paleniem w wielkich porcelanowych fajkach zielska, zwanego tytoniem „Trzech królów” (czemu raczej nie „Siedmiu złodziejów”?).

Noc była zupełna, gdyśmy z miejsca ruszyli. Nadzwyczajna cisza wypełniała całą przestrzeń, która zdawała się nie mieć granic. W tej ciszy nadzwyczajnej każde uderzenie kopyta w zmarzniętą ziemię równało się grzmotowi; każde skrzypnięcie śniegu pod kołami było prawie krzykiem.

Z góry wytrzeszczone oczy gwiazd patrzyły na zalękną, oniemiałą ziemię z wyrazem niewysłowionej grozy i zimnej a okrutnej ciekawości. Takimi oczyma przyglądał się Neron męczonym w cyrku ofiarom.

Zaraz za Zegrzem trzeba było przebyć rzekę. Dziś stoi tam most żelazny, wsparty na wysokich filarach; wówczas drewniane przęsła mostu leżały prawie na powierzchni wody. Gdy woda obniżała się, most wraz z nią zapadał, jakby w przepaść. Ta przepaść wydawała się tym głębszą, że brzeg był bardzo wysoki.

Nocą na dnie przepaści widziało się drżące światło olejnej, wiatrem chwieanej latarni, a przy niej, w brudnożółtym kręgu światła, czarne, żywo poruszające się cienie. Dalej była otchłań, pocętkowana ułożonymi w zygzak, matowymi światełkami. Latem dochodził z dołu jękliwy plusk niewidocznej fali, z którym łączyło się niekiedy żalosne zawodzenie orylów, nocujących przy moście na tratwach.

Wjazd na most równał się wówczas skokowi w przepaść. Gdy już dopełniono wszystkich formalności i gdy z dołu nadbiegło hasło, że „szlaban” podniesiony, konie ruszyły z kopyta, a nabierając na stromej pochyłości wielkiego rozpędu, wpadały na most jak wichry. Latarnia, ludzie przy niej, domek poborcy, słupy szlabanowe migwały jak cienie – potem wszystko nagle nikło, uspokajało się i nic już nie było słychać prócz miarowego, powolnego dudnienia kopyt na

drewnianym pomoście oraz plusku wody, piosenki orylskiej i rechotania żab...

Szalenie lubiłem te zjazdy – choć łączyły się ze strachem okropnym i choć przed każdym z nich żegnałem się, jakbym szedł na śmierć pewną...

I teraz odbyło się wszystko zwykłym trybem – z tą jedynie różnicą, że muzykę letniej nocy zastąpił przeraźliwy, dzwoniący, szczękający i zgrzytający klekot bryki żydowskiej.

Wstrząśnienie przy przeprawie oddziało na wszystkich dobroczynnie. Dzierżawca częściowo wytrzeźwiał, mieszczanin zaprzestał płaczących monologów, mnie zrobiło się cieplej, a farmaceucie powróciła werwa, którą mróz zaczynał ostudzać.

Przez czas pewien było na bryce tak prawie wesoło jak przy wyjeździe z Warszawy. Mnie tylko udręczał cuchnący dym „drajkenigu”, który z trzech fajek i trzech gąb buchał jak z sześciu kraterów.

Mój wstręt do Joska, w równym stopniu estetyczny, jak nerwowy, wzrósł tak bardzo, że stał się prawie nienawiścią. Miałem nieledwie żal do Boga, że zepsuł harmonię świata, stwarzając tak brzydkie i tak zabójczą atmosferą otoczone istoty.

Zrobiłem silne postanowienie unikania w życiu wszelkiego rodzaju Josków. Umyśliłem też nie wyruszać nigdy w drogę bez butelki z wodą kolońską w kieszeni.

Jechaliśmy umiarkowanym truchtem wśród niezmiernych, białawych, słabo odbijających światło gwiazd przestrzeni. Śnieg skrzypiał przeraźliwie, bryka dzwoniła, jakby samym szkłem napelniona. Mieszczanin, zaprzestawszy lamentów, milczał jak ryba. Dzierżawca rzucał co chwila zdania krótkie, energiczne, ale że był zakopany z głową i czapką w olbrzymich szopach, nie można było zrozumieć, co mówi. Nad wszystkim panował ostry, przenikliwy głos farmaceuty.

Ten nerwowy, balsamem peruwiańskim woniejący młodzieniec czynił wrażenie człowieka, który z długiego zamknięcia wyrwał się nagle na swobodę. Wiadomo, że na takich świeże powietrze działa jak wino. Cóż dopiero, gdy prócz powietrza podniecać ich zaczną inne rozweselające czynniki...

Farmaceuta, podrygujący nieustannie na siedzeniu, to śpiewał półgłosem, to ustami trąbę i bęben naśladował, to wreszcie do Joska zwracając się, wykrzykiwał zachęcająco:

– Fur, fur, Mojsie!... Fur, fur!...

Na koźle gwałtowny szwargot na chwilę nie ustawał.

– Cicho, Żydy, niech sam rabin krzyczy! – upominał rozgadana trójkę, która na niego uwagi nie zwracała.

Aby tę uwagę zbudzić, przesiadł się bliżej kozła i Joska za pejs pociągnął.

– Mojsie! Mojsie! – wesolo zawołał – a czy ty słuchasz o taki wypadek, że na Łowickie jarmark Żyd koniowi uczezną?

Ten koń miał feleru małego,
 Że był trochę – ukradziowanego!

– Mnie nic do tego... – dokończył mimowolnym rymem woźnica i jał na nowo szwargotać.

– Ho, ho, toś ty, widzę, wcale nie ciekawy! Ale jak ja ci zaśpiewam jeden delikatny kawałek, to zaraz uszy postawisz jak zajac.

Odchrząknął, papierosa na śnieg cisnął, wykrzywił się zabawnie i zaśpiewał:

Radujcie się, zidziowie,
 Dobrze szlichać w Wlesiowie.
 Już szkolników śpiewają,
 Mesyjasza witają...

Ej, wej! Taj, daj, dum!
 Aj, waj! Bim, bom, bum!

Żydzi szturgnęli się łokciami i trochę przycichli.

– Aha! To wam zakręciło koło serca. Posłuchajcież dalej:

Trzysta zidziech i dwieście
 Zgromadził się bul w mieście.
 Wszystkich krzyknął; – Ach! Ach! Ach!
 I wystrzelił: – Pach! Pach! Pach!
 Ej, wej! Taj, daj, dum!
 Ach, waj! Bim, bom, bum!
 Z wielkim pompem wjeździował,
 Sam go rabin witował.
 Bardzo smacznych potrawie
 Postawił mu na ławie:
 Rzodkiew czarne z lupinem,
 Co go wędził w kuminem,
 Pare śliwek i śledzia,
 Cztery flaki z niedźwiedzia...
 Witaj, Lejbuś parsiwy!
 Nasz miłośnik prawdziwy!
 Niech z wieciora do rana

Żyje dziecko kochana...

Ej, wej, taj, daj, dum!

Ach, waj, bim, bom, bum!...

Dowleliśmy się w ten sposób do Serocka.

Dopiero przy wysiadaniu poczułem, że mam jedną nogę skostniałą od mrozu. Długom rozcierać ją musiał, zanim wróciła mi w niej władza.

W Serocku czekał na „gości” znany dobrze kilku pokoleniom podróżnych właściciel zajazdu z „numerami”, mąż niezłomnych przekonań, który latem i zimą, w piątek i świątek, o południu i o północy na zapytanie: „Co jest do jedzenia?” – odpowiadał twardo:

– Jest pieczeń z kapustą.

Mówiono, że ogromny zapas tej pieczeni z kapustą nabył wraz z zajazdem od swego poprzednika i przez lat kilkanaście częściowo go wyprzedawał.

Był to zarazem eks-obywatel i eks-krawiec, człek sztywny, mrukiwy, z wielką, łysą głową nieruchomo na karku osadzoną. Pod nosem miał dwie kępki rudawo-siwych, szczecinowatych włosów, które nieustannie szczoteczka przeczesywał. Ponieważ dopełniał tego za „bufetem”, dokąd brudna dziewczka przez drzwi uchylone wsuwała talerze z gorącymi „porcjami”, zawsze pieczeń, prócz kapusty, przysmaczana była jakimś rudawosinym dodatkiem.

Farmaceuta był widocznie spraw tych świadomy, gdyż zamawiając jedzenie ze szczególnym naciskiem rozkazał:

– Włosy oddzielnie!...

Podwójny tytuł eks-krawca i eks-obywatela wydawał się niejednemu zagadką. Żadnej jednak zagadki w tym nie było. Krawiec na rzemiośle swym, w Warszawie prowadzonym, dorobił się dużych pieniędzy, a mając przez długie lata do czynienia z wszelkiego rodzaju „stanami” wyobraził sobie, że przy odpowiednim majątku i stan obywatelski będzie doń pasował.

Znaleźli się tacy, co go utwierdzili w tym przekonaniu i właścicielem dóbr zrobili.

Wyszedł z nich rychło „o kijku”, a za okruchy fortuny, cudem ocalone, zrobił się właścicielem zajazdu z numerami oraz niewyczerpanych zapasów pieczeni z kapustą.

Jako pamiątka po „obywatelstwie” pozostała mu jedynie chęć (daremna, niestety) zadzierania wąsów do góry.

Warsztatowych nawyknień zachował więcej, a objawiały się one głównie w sposobie obchodzenia się z „gośćmi”.

Gdy zbliżał się do kogoś zapytaniem: „Czym mogę służyć?... Jest gotowa pieczeń z kapustą...” Czynił to tak, jakby miał brać miarę na surdut lub kamizelkę. Podawał jedzenie ruchem szybkim, energicznym, jakby wbijał igłę w twardego materiału; przy zabieraniu zaś próżnego talerza gwałtownie cofał ramię, jakby z „gościa” nic długą wyciągał.

Znałem ten zajazd lepiej niż wnętrze swej teki uczniowskiej. Dziś jeszcze mógłbym powiedzieć, jakie rośliny doniczkowe zieleniły się w niewielkich okienkach jego izby gościnnej, długiej, wąskiej, niskiej, do której wchodziło się „bokiem”, z bramy brukowanej, po kilku, również brukowanych stopniach. W samym końcu stał niewielki, żółty „bufet”; na nim, pod szklanymi pokrywami, schły i pleśniały odwieczne przekąski. Za plecami eks-krawca, podczesującego rude wąsy, widać było szafeczkę oszkloną z butelkami, które on nieustannie to wyjmował, to wstawiał na powrót.

Obok był „pokój damski”, znacznie mniejszy, z okrągłym stołem na jednej nodze i meblami wyściełanymi – razem poczekalnia przejezdnych niewiast i bawialnia gospodarstwa. Odpoczywały tam kobiety podróżujące w towarzystwie dorosłych i dorastających pań oraz zupełnie małych dzieci. Przez uchylone drzwi widziało się zawsze piramidy pakunków, słyszało głośnie, cienkie śmiechy i płacz niemowląt. W pokoju damskim czyniła posługę żona eks-krawca; nie zanoszono tam nigdy nic więcej, prócz herbaty, kawy białej i bułeczek z masłem.

Dość lubiłem i ten zajazd, i jego właściciela. Gdyby mię jednak spytano: co mi się tam najbardziej podobało? Odrzekłbym bez namysłu, że... Rycina wisząca wprost środkowego okna, obok drzwi, zawsze zamkniętych i nie wiadomo dokąd prowadzących. Ta rycina była kolorowym, poczerniałym przez czas sztychem angielskim, wykonanym podług rysunku Orłowskiego.

Przedstawiała cesarza Pawła odwiedzającego Kościuszkę w więzieniu.

Za każdą bytnością w zajazdzie długie chwile przed starym sztychem wystawałem. Tym razem jednak nieszczęsny bohater i nieszczęsny monarcha na próżno dawali mi znaki porozumienia...

Nie spieszyłem z przywitaniem. Niestety! Zbyt jasno oświetlała ich lampa wisząca

– ja zaś rozmyślnie w cień się chowałem. Po cóż eks-

obywatel, dobrze znający mnie i moją rodzinę, miał wiedzieć, że tę podróż odbywam z brodatym i pejsatym Joskiem!

Zająwszy miejsce przy stoliku, najbardziej od ogniska światła oddalonym, zażądałem herbaty i pieczeni – „bo głód był jeszcze sroższy od żalości”. Ale choć kołnierz podniosłem i głos zmieniłem, poznano mię.

– Cóż to, bez mamy?... – usłyszałem inkwizycyjne zapytanie gospodarza, stawiającego przede mną swą najdoskonalszą, bo jedyną, potrawę.

– Phi! – odparłem, piersi wyprężając. – Czy to ja dziecko, że bym bez matki ruszyć się nie mógł?

Wyglądałem zaś na podziw dziecinnie.

– Mrozik mamy petersburski – ciągnął tamten, szczoteczki dobywając.

Przy tych słowach prześwidrował mię na wylot doświadczonego wzrokiem eks-krawca – tym wzrokiem ostrowidzowym, który w jednej chwili dostrzega i oszacowuje nie tylko krój, materiał i robotę ubrania zwierzchniego, ale i jego podszycie oraz wszystko, co znajduje się pod nim – do kamizelki, koszuli i wełnianego kaftanika włącznie.

– Czy nie za lekko? – spytał, sumując dopełnione spostrzeżenia i wniosek z nich wyciągając.

Namyślał się przez chwilę, jakby chciał jeszcze coś dodać, lecz tylko wąsy szczoteczką podrapał i odszedł w milczeniu do innego stolika.

W Serocku ubyto dwóch towarzyszków. Pierwszym, zupełnie mi obojętnym, był milczący mieszczanin. Ledwie bryka wtoczyła się na wyboisty bruk miasteczka, zniknął mi z oczu, w mrok wsiąknął – przepadł.

Wkrótce po nim opuścić nas miał niezrównany farmaceuta, który jednak tymczasem zawijał pieczeń z kapustą, aż mu się uszy trzęsły. Właśnie skórka chleba wycierał resztki sosu z talerza, gdy za oknami ozwała się trąbka pocztowa.

Połknął skórkę, uszu nadstawił, uśmiechnął się tryumfująco.

– To na mnie! – wyrzekł, posyłając znaczące spojrzenie obecnym. – „Ekstra!...” Czy może być coś rozkoszniejszego? Nie ma pięciu minut, jak pchnąłem Żydka na pocztę, już pocztylion zajechał. To się nazywa punk-tual-ność! Dwie są tylko na świecie instytucje tak punktualne: poczta i – apteka.

Odszukał mnie wzrokiem w ciemnym kącie i spytał:

– Nieprawda, kolego?

– Pan łaskawy do?... – zagadnął gospodarz, odbierając od farmaceuty zapłatę i szybkim ruchem wyciągając zeń nitkę niewidzialną.

– Do Trznadlego Ogonka.

– Do Ogonka?... Nie znam.

– Nic nie szkodzi. Stąd trzy wiorsty i kawałek. Przelecę w dziesięć minut. Nie ma jak ekstra!

– Pan łaskawy żartuje. A kolej?

Młodzieniec rozparł się i spojrział na eks-krawca z wysoka.

– Kolei nie uznaję – oświadczył tonem stanowczym. – Kolej, mój panie, to półśrodek, a ja gardzę półśrodkami. Podług mnie, trzy są tylko możliwe środki podróżowania: ekstra, hukolot i pstrykoelastyk.

– Pan łaskawy powiedział?

– Hu-ko-lot i pstry-ko-e-la-styk – wyskandował farmaceuta wydostając z kieszeni świeży papieros.

Gospodarz wysunął się zza bufetu.

– Nie słyszałem dotąd o tych wynalazkach – rzekł, podając młodzieńcowi płonąca zapalną, a przy tej sposobności wbijając weń swą ostrą, dla zwykłych oczu niedostrzegalną igłę.

– Wcale mnie to nie dziwi. O czym w Honolulu już zapomniano, to dla Serocka nowość niesłychana. Tymczasem Australczycy nie podróżują dziś inaczej jak tylko w hukolotach!

– I cóż to takiego, panie najłaskawszy?

– Armata, panie najszanowniejszy. Otwór tej armaty jest tak duży, aby pomieścić mógł kulę tej wielkości, co zwykły omnibus pocztowy. Kula ma wewnątrz próżne, miękko wysłane.

W chwili odejścia pociągu pakują pasażera do kuli, kulę do armaty i – paf!... Pasażer kicha na jednej stacji, a na drugiej mówią mu już: na zdrowie!

Eks-krawiec zatrzymał w powietrzu niesioną do wąsów szczoteczkę i usta otworzył – ale nic nie powiedział.

– Co się zaś tycze pstrykoelastyka – kończył tamten – wynalazek ten nie zdobył sobie jeszcze uznania, na jakie zasługuje. Szkoda! Jest bowiem nadzwyczaj prosty i praktyczny.

Wyobraź sobie pan dobrodziej grubą, ale to bardzo grubą, linę z gumy elastyki, zwanej inaczej „gumulastyką”. Jeden koniec tej liny jest przytwierdzony na stacji A, drugi za

pomocą odpowiednich przyrządów wyciągnięty aż do stacji B. Na tej ostatniej przyczepia się do niego wagon z pasażerami, po czym, na znak dany przez zawiadowcę, konduktor linę puszcza i – pstryk!...

Za oknem pocztynion zatrąbił powtórnie, przerywając młodzieńcowi wykład.

Wstał, odział się we wspinałe barany, zielony kapelusz przed zwierciadełkiem zawadiacko nasadził. Następnie zabrał się do żegnania towarzyszków podróży.

Drzemiący dzierżawca został przezeń zbudzony i w oba policzki „siarczyście” ucałowany.

Przyśniło mu się pewnie, że na jarmarku w Pułtuskun odnawia przyjaźń z dawno nie widzianym sąsiadem.

Potem farmaceuta do mnie przystąpił.

– Żegnam kolegę! – wyrzekł, silnie wstrząsając moją rękę. – Żegnam i życzę dobrego apetytu na kluski z makiem.

Przymrużonymi oczyma spojrzał na moją zwierzchnią, wiatrem podszytą odzież.

– Kolega, widzę, hartujesz się. To bardzo chwalebne, ale – radzę nie przesadzać. Czasem z takiej sztuki można dostać feleru w płucach albo w żołądeczku. O nóżkach i krzyżyku nie wspominam, bo na to dla kolegi czas jeszcze.

Zamilknął nagle, ręki mojej nie puszczał. Zamyślił się przy tym tak samo jak przed chwilą właściciel zajazdu. W tym zamyśleniu dziwnym wzrokiem to po szynelu moim wodził, to obracał go na dzierżawcę, który miał ze mną dalej jechać, to wreszcie zdawał się oczami próbować grubości futer, których kilka przy dzierżawcy leżało.

W tej chwili wydał mi się innym niż zwykle – poważnym.

Nagle bródka kozia zadrgała, mysie ogonki rozsunęły się...

– Na wypadek, gdyby kolega zanadto przeziął – rzekł głosem zwyczajnym, w którym odzywało się zawsze jakby powstrzymywane parskanie – proszę przyjść do mnie na rozgrzewkę. Ale nie prędzej niż po Trzech Królach.

Wcześniej do domu nie wrócę. Adres mój: Warszawa, róg Podwala i placu Zamkowego, apteka. Dam koledze kropli własnego wynalazku, które nazwałem „Kroplami wiecznie młodej nieśmiertelności”. Działają cudownie. Przed rokiem napiła się ich przez omyłkę dziewięćdziesięcioletnia matrona – i wiesz kolega co? W tydzień później wyszła za mąż za swego prawnuka, a dziś ma śliczną córeczkę, której jest zarazem matką i pra-pra-babką. Do widzenia!

Potrząsnął rękę moją tak silnie, jakby mi ją z ramienia chciał wyrwać, i wyszedł, z wielkim hałasem drzwi za sobą zamykając.

Po chwili usłyszeliśmy dziarskiego krakowiaka wygrywanego na trąbce i stopniowo cichnącego w oddaleniu.

Josek nie zjawiał się; postanowił widocznie urządzić tu dłuższy postój. Po wielkim zimnie ciepło izby gościnnej oddziało na mnie w sposób zwykły: osłabiło i rozmarzyło. Zdjąłem szynel, wyciągnąłem się na dwóch stołkach – zasnąłem.

Towarzysz mój zrobił to już od dawna – z tą różnicą, że nie dwa, lecz cztery stołki za łożę mu służyły.

Spąłem długo; sny miałem przyjemne. Zbudziło mię silne kołatanie w okiennicę, któremu towarzyszył chrapliwy, niewyraźny bełkot. Rozróżniłem z trudnością słowa: „siadacz...”, „jehacz...”.

Dreszcz mię przebiegł; przetarłem oczy, wzdrygnąłem się. Izba wyglądała ponuro. Lampę wiszącą u powały dawno już zgaszono; tliła się tylko na bufecie mała nocna lampka, wydzielająca więcej kopciu niż światła. Potworne, ruchome cienie drgały na ścianach i podłodze. Było zimno; powietrze przesyciła wilgoć, zbutwiałość.

W izbie nie było nikogo prócz mnie i dzierżawcy. Gruby szlachcic spał w najlepsze, wydając nosem i ustami niskie, głębokie tony trąby.

Przez chwilę zdawało mi się, że to sen. Zamknąłem oczy i ułożyłem się na powrót, aby spać dalej. Ale w tejże chwili drzwi skrzypnęły, do izby wtoczył się rzeczywisty Josek, wzywając głosem chrapliwym „na brykie”.

Zrobiło mi się niewymownie smutno. Więc znów wychodzić mam na mróz i noc, kostnieć od zimna, znosić niewygodę, cierpieć towarzystwo wstrętnego chałaciarza, cuchnącego cebulą i tytoniem ordynarnym? Gdybyż to chociaż było niedaleko – ale do P. jeszcze trzy mile, trzy okropne mile, najdłuższe ze wszystkich, jakie mi kiedykolwiek w życiu przebywać wypadło!

Rozżaliłem się nad samym sobą – o małym nie rozpląkał się jak dziecko. Była, chwila, gdym chciał dać za wygraną wszystkiemu i do Joska, do dzierżawcy, do właściciela zajazdu, do świata całego powiedzieć stanowczo:

– Róbcie ze mną, co chcecie; zabierzcie wszystko, co mam przy sobie: popsuty zegarek srebrny, portmonetkę z

dziesięcioma złotymi, walizkę z brudną bielizną, ale – spać mi dajcie i nie budźcie mnie aż na Sąd Ostateczny!

Ten protest nerwów znużonych i instynktu zachowawczego objawił się na zewnątrz tylko długim, jęklwym ziewnięciem.

W kilka minut później siedziałem już na bryce Joskowej, obok dzierżawcy, w połowie zaledwie rozbudzonego. Na koźle prócz woźnicy nie było nikogo.

Mróz wzmagał się. Poznałem to zaraz po wyjściu z zajazdu po wielkiej trudności oddychania. Atmosfera wydała mi się nalana płynem szklistym, który z wielkim jedynie wysiłkiem można było wciągać w płuca.

Była godzina trzecia lub czwarta po północy. Gwiazdy straciły poprzednią jaskrawość, ciemny granat nieba rozjaśnił się, jakby spłowił – zbliżała się chwila wschodu księżyca.

Na bryce, tak dotąd gwarnej, panowała teraz cichość zupełna. Prócz skrzypienia kół, przerywały ją dwa tylko głosy: sapanie dzierżawcy, zakopanego w płaszczu szopowym, i parskanie koni, którym szron nozdrza zapychał.

Josek ani fajki nie palił, ani majufesów nie nucił, ani do koni nie przemawiał. Skulony w milczeniu na swym twardym, sieczką wypchanym worku, wydawał się bryłą martwą, bezkształtną, tchnącą wyrazem bezgranicznej apatii.

Po raz pierwszy od chwili wyjazdu doznałem uczucia strachu; po raz pierwszy tknęła mię myśl, że ta wyprawa skończyć się może – nieszczęściem.

Dotąd w walce z mrozem miałem różnego rodzaju posiłki – teraz stałem naprzeciw niego sam jeden, najzupełniej bezbronny. On to natychmiast ocenił. Zaledwie ruszyliśmy z miejsca, chwycił mię jak w kleszcze, ścisnął mocno i dał poznać, że – nie puści.

Choć jechało nas trzech, czułem się zupełnie samotny. Jeśli Josek był bryłą wyrażającą apatię, to szlachcica można było przyrównać do zaklętego w bryłę samolubstwa. Od tych dwóch brył szło na mnie zimno duchowe, gorsze jeszcze od fizycznego.

Na szerokim siedzeniu, mogącym pomieścić cztery osoby, ja i towarzysz mój zajmowaliśmy miejsca krańcowe. Pomiędzy nami leżała sterta futer. Była tam niedźwiedziowa algierka dzierżawcy – strój świąteczny, „od miasta”, który zaraz po przejechaniu rogatek został zastąpiony wytartymi szopami – nowy, krótki kożuszek, używany przy

gospodarstwie, i stara skóra barania, do okrycia nóg służąca.

Jedno z tych futer mogło mnie być zbawić – tyle jednak miałem z nich pożytku, co Tantal z legendowych jabłek. Mimo to ciągnęły mnie magnetycznie.

Wpatrywałem się w nie z uporem rozpaczliwym, a ból i żal rozdrażniła myśl: „Jak rozkosznie byłoby zanurzyć się w ciepłym puchu tych niedźwiedzi i – roztajać!...”

Ale nawet widok ich miał mi być wkrótce odebrany. Szlachcic na wyjeździe z Serocka zapowiedział, by wysadzono go w karczmie przed Łubienicą, gdzie czekać nań miały jego własne „kunie”.

Być może, iż gdybym przemówił do tego grubego człowieka głosem płaczliwym, wyznał mi, jak bardzo zmarłem, i o współczucie go prosił, pozwoliliby mi okryć się przynajmniej swą wyszarzaną baranicą. Ale mój estetyzm, nawet pod groźbą śmierci, zrobić tego nie pozwalał.

Kostniałem więc z wyniosłą pogardą wszelkiej, zarówno fizycznej, jak moralnej brzydoty. Jeśli to było bohaterstwo, to zwracały na nie uwagę chyba tylko gwiazdy, przypatrujące mu się z wysoka gasnącymi oczami. Jaki wszakże był ich sąd o dumnym, sny fantastyczne rojącym dziecku? Przyklaskiwały mu, czy też zeń szydziły? Może tylko litowały się nad nim – lekceważąco?

Zajmowały mnie te pytania i starałem się znaleźć na nie odpowiedź. Pragnąłem w ogóle wejść w bliski stosunek z gwiazdami, a o ziemi zapomnieć. W tej chwili ziemia bardzo mi dokuczała.

Mróz kłuł mię tysiącami igieł, zaczynając od palców u nóg, potem obejmując całe stopy i w górę się posuwając. Pod działaniem tego klucia stopy, a następnie i nogi do kolan traciły stopniowo czucie i stawały się podobne szczudłom drewnianym. Aby je bronić od zupełnego zdrętwienia, uderzałem stopami w dno bryki, słomą wysłane. Słoma kruszyła się i rozstępowała; spod słomy wychylały się twarde, zimne deski oraz źle przymocowane i podskakujące pakunki.

Jednocześnie mróz nacierał na mnie od góry i uderzał w twarz, niedostatecznie oslonioną. Ból sprawiany przezeń uszom, nosowi, brodzie, policzkom już nie dawał się przyrównywać do klucia drobnymi ostrzami. Doświadczałem po prostu wrażenia, jakby w moje ciało zatapiały się, raz po raz, ostre zęby.

Trwoga moja wzrastała i zaczynała przybierać rozmiary tragiczne. Niedawno właśnie czytałem opowiadanie Andersena o „Dziewczynce z zapalkami”. Stała mi ona teraz przed oczami jak żywa. Widziałem ją skuloną za węglem kamienicy, siną od mrozu, nędzną i – uśmiechniętą. Srebrne gwiazdki śniegu iskrzyły się na jej jasnych, rozplecionych włosach; oczy wielkie, błyszczące, patrzyły z natężeniem w niebo; twarz całą opromieniał wyraz wielkiej, nadziemskiej szczęśliwości. Przy niej, na śniegu, dopalało się pudełko zapalek, a dym wznosił się wysoko i zwił w kłęby fantastyczne. Z kłębow wynurzyły się główki aniołków oraz miłośnie wyciągnięte ramiona przyzywającej ją do siebie babki.

„I ja zmarznę – pomyślałem z goryczą – ale śmierć moja nie utworzy tak poetycznego obrazka...”

Ta uwaga do żalu dodała gniew. Roilem zawsze o śmierci pięknej, którą można by opiewać dźwięcznymi wierszami. Gniew jest bodźcem dodającym energii. Zawziąwszy się na wroga, postanowiłem nie dać mu się. Jąłem żwawo poruszać nogami, rękami, głową, całym tułowiem. Rzucałem się na bryce jak opętany.

Rozgrzało mię to cokolwiek, ale zmęczyło. Uczułem osłabienie, a wraz z nim senność. Gwiazdy, w które wpatrywałem się nieustannie, również mrużyły oczy, zsympiając i mnie nęcąc do spoczynku. Zdawało mi się, że wszystko dokoła do snu się układa...

Opierałem się z wysiłkiem temu pociągowi, wiedząc, jak jest zdradziecki. Strzegłem się zwłaszcza zamykać oczu. Aby myśl utrzymać w natężeniu, skandowałem głośno wiersze z Eneidy. Wybijałem średniówkę tak dobitnie, że mój dobry nauczyciel Gomolewski dałby mi za nią piątkę i jeszcze w nagrodę obrzucił sponad okularów swym bystrym, życzliwym i jakby ciepłym spojrzeniem.

Jednak w mózgu zaczynało mi się z wolna mącić. Rzeczywistość i urojenie zespały się chwilami tak silnie, że już ich rozróżnić nie mogłem. Myśli moje zataczały kręgi, to znów bieły po liniach spiralnych – stawały się barwami, światłami, dźwiękami...

Otrzeźwiło mnie silne wstrząśnienie. Bryka stanęła; wyciągano spode mnie futro dzierzawcy, o które wsparłem się bezwiednie. Ciemna bryła, zasłaniająca mi po lewej ręce kawał widnokręgu, zniknęła z siedzenia.

Usłyszałem silne, ale jakby zmatowane huknięcie:

– Wa-lek!... Ku-nie!...

Ozwało się szczekanie psa, potem twarda, chłopska mowa.

Głosy te nagle ścisły, jakby pod ziemię zapadły. Bryka znów zaczęła dzwonić, skrzypieć, zgrzytać. Jechaliśmy dalej.

Wschodził księżyc. Srebrna poświata ukazywała się na niebie i ziemi. Wytężyłem wzrok i myśl, aby wszystko widzieć i ze wszystkiego zdawać sobie sprawę dokładną.

Josek jeszcze bardziej skulił się i był tak nieruchomy jak wór, na którym siedział. Starą szmatą owiązał głowę, a ten dziwny strój czerniał na niebie liniami ostro łamiącymi się jak kaptur mnicha. Wydawał mi się teraz postacią prawie fantastyczną, obcą i straszną.

Co pewien czas dobiegało mię ciche, drżące, przeciągłe jęczenie. Czy to bryka ten głos żałosny wydawała? – czy nadbiegał on z lasów, spływał z powietrza lub też dobywał się z piersi Joskowej?

Nie byłem w stanie rozwiązać tego pytania.

Oto Łubienica. Długie, prostolinijne, murowane budynki stoją na zwykłych miejscach. Nie ludzie w nich mieszkają, lecz barany. Ciepło im być musi pod dachem, wśród grubych murów, przy wrotach szczelnie zamkniętych...

Oto kapliczka na wysokim wzgórzu, tuż nad drogą. W świetle wschodzącego księżyca wydaje się rażąco białą. Prosta i smukła, przedstawia podobieństwo do placówki obozowej – a także do widma o niepewnych, rozplywających się zarysach.

W tej kapliczce spoza szybki zakurzonej wyziera śniada twarz „Częstochowskiej”. Przypomina mi to, że niedawno, za jej przyczynieniem się, powstałem ze śmiertelnej niemocy. Gdybyż i teraz miłosierną dla mnie być chciała!...

Za kapliczką wzgórze obniża się i droga bieży spadzisto. Niewielka to pochyłość i zwykle bardzo szybko zjeżdża się z niej na zupełnie równą płaszczyznę. Teraz jednak tej pochyłości i temu zjeżdżaniu końca nie ma. Bryka, wśród przeraźliwego chóru szklanych i metalicznych dźwięków, stacza się w dół, coraz niżej i niżej, a dna osiągnąć nie może...

Liczę w myśli sekundy, z sekund układam minuty, z minut kwadransy. W rachunku myślę się nieustannie. Usiłuję omyłkę naprawić, wracam do początku – i brnę w gorszy jeszcze zamęt.

Nudzi mię to wreszcie; rzucam rachunki, daję za wygraną wysiłkom myśli. Wolę marzyć...

Marzenia moje byłyby rozkoszne, gdyby nie ból dotkliwy, odzywający się w całym ciele. Na ruchy energiczne nie mam już siły; kurczę się tylko i kulę, tak samo prawie jak Jasek. Spać mi się chce okropnie. Myślę, że byłoby rzeczą rozkoszną: zsunąć się z siedzenia na dno bryki, zagrzebać się w słomie, oczy zamknąć, zapomnieć o wszystkim.

Czuję, że sen uspokoiłby bóle przez mróz sprawiane. Pozwoliłby także spokojnie i przyjemnie, pomarzyć. Ale wiem, że z tego snu jużbym się więcej nie zbudził.

Nie zsuwam się na dno, pomiędzy słomę, bo to byłoby nieestetyczne; nie chcę też zamykać oczu na zawsze, bo jeszcze mam na ziemi wiele do oglądania. Prócz matki czeka mię w domu brat ukochany, brat nie ze krwi tylko, lecz i z ducha; czekają egzaminy z wymarzoną nagrodą, czeka tyle książek nie przeczytanych, tyle snów wołających o ziszczenie...

Mimo wszystko – zasypiam...

Zasypiam z uczuciem strachu okropnego, który może nawet wydobywa mi z piersi jęk głośny.

Takim samym snem zasypiałem przed dwoma laty, w pewną noc marcową, nie mogąc i nie chcąc odpowiadać na wołanie zebranej przy łóżku moim rodziny. Ale wówczas strachu nie doświadczałem żadnego – owszem, czułem błogość niewymowną. Wielkie też było moje zdziwienie, gdym po przebudzeniu ujrzał wszystkich łzami zalanych i witających mnie, jakbym z tamtego świata powracał. Później dopiero powiedziano mi, że z wyroku lekarzy owa noc miała być dla mnie – ostatnią.

Teraz jednak wiem, że już się nie przebudzę.

Otacza mię chaos, mrok. Widzę rzeczy, których plastycznie odtworzyć niepodobna; słyszę dźwięki, których nie zna skala tonów ziemskich; doświadczam uczuć, na których odmalowanie mowa ludzka daremnie by się siliła. Wreszcie przestaję widzieć, przestaję słyszeć, przestaję czuć.

.....
.....

Obudziłem się.

Obudziłem się nagle, w jednej chwili, bez żadnych przejść pośrednich od snu do jawy. Wahadło, nieruchomo wiszące,

zostało przez kogoś czy przez coś popchnięte i zegar na powrót iść zaczął.

Było mi dobrze, rozkosznie, a przede wszystkim – ciepło. Doświadczalem błogich uczuć człowieka, który, miotany długą burzą morską, znajduje wreszcie ziemię pod stopami i słońce nad głową.

Ciekawym spojrzeniem powiodłem dokoła. Wszystko pławiło się w olśniewająco białym, błyszczącym świetle. Niebo i ziemię zalewał księżyc falami płynnego srebra. Gwiazdy co do jednej roztopiły się w tym srebrze.

Bryka toczyła się szybko. Na koźle nie było Joska. Biegł on przy bryce, poganiając konie. Butami podkutymi mocno uderzał w zmarzłą ziemię, nogami gwałtownie przebierał; w dłonie chuchał, rękami bił się silnie po bokach.

Josek miał na sobie tylko krótki kaftan watowany, a na głowie, oprócz czapki, podartą szmatę. Co zrobił ze swym grubym, ciepłym chałatem, podszytym tu i owdzie wytartymi skórkami zajęczymi?

Blask księżycy, szybkość jazdy, żwawe ruchy woźnicy podnieciły mnie, rozweseliły. Zapomniałem o przebytych dolegliwościach i o niedawnej trwodze śmiertelnej. Rozglądając się po znanej dobrze okolicy badałem, jak daleko jeszcze do domu. Wynik badania był pocieszający: na prawo i lewo błyskały chaty, kościółki, karczemki, zapowiadające bliskość miasta.

Zwróciłem wreszcie uwagę na siebie.

Nie zajmowałem już poprzedniego miejsca. Siedziałem wygodnie na dnie bryki, na dwóch pękach słomy, których tam wprawdzie nie było. Osłaniała mnie całego, z nogami, rękami i głową, ciepła opończa, którą nie wiadomo kto okrył mnie i otulił.

Nie myślałem, nie chciałem myśleć ani o tym, ani o niczym zgoła. Nasycanie się rozkoszą istnienia, jakby po raz drugi mi darowanego, starczyło mi za wszystko. Zresztą zajęty byłem marzeniami o domu, o gwiazdach, o książkach, o poezji...

Szybko biegły chwile, szybko mijały słupy wiorstowe.

Księżyc pobladał i zmalął; na wschodzie zrzędziały mroki. Niebo i ziemia ze srebrnych stały się matowo białe.

Otóż i Kleszewo, chowające się latem w wieńcu, a teraz tylko w różgach bezlistnych wierzbiny i olszyny...

Oto Kacice, ze swym białym, pustelnicznym kościółkiem, otoczonym lipami starymi.

Purpura wschodzącego słońca zalała ziemię. Pod kołami zaturkotał bruk wyboisty.

Jeszcze chwila – bryka stanęła przed domem moich rodziców. Zerwałem się lekki, wesoły i odrzuciłem przykrywającą mnie opończę. Odrzuciłem ją ze wstrętem, bom poznał przy słońcu, że to był – chałat Joskowy.

W minutę później kołatałem już do drzwi swego domu. Zbudzonej służącej kazałem znieść rzeczy swe z bryki i zaraz rzuciłem się do miski z letnią wodą i do mydeł pachnących.

Joskowi nie powiedziałem nawet „Bóg zapłać”.

Nie spodziewał się on zresztą tego i – nie liczył na to.

A jednak mówią, że oni zawsze na coś liczą...